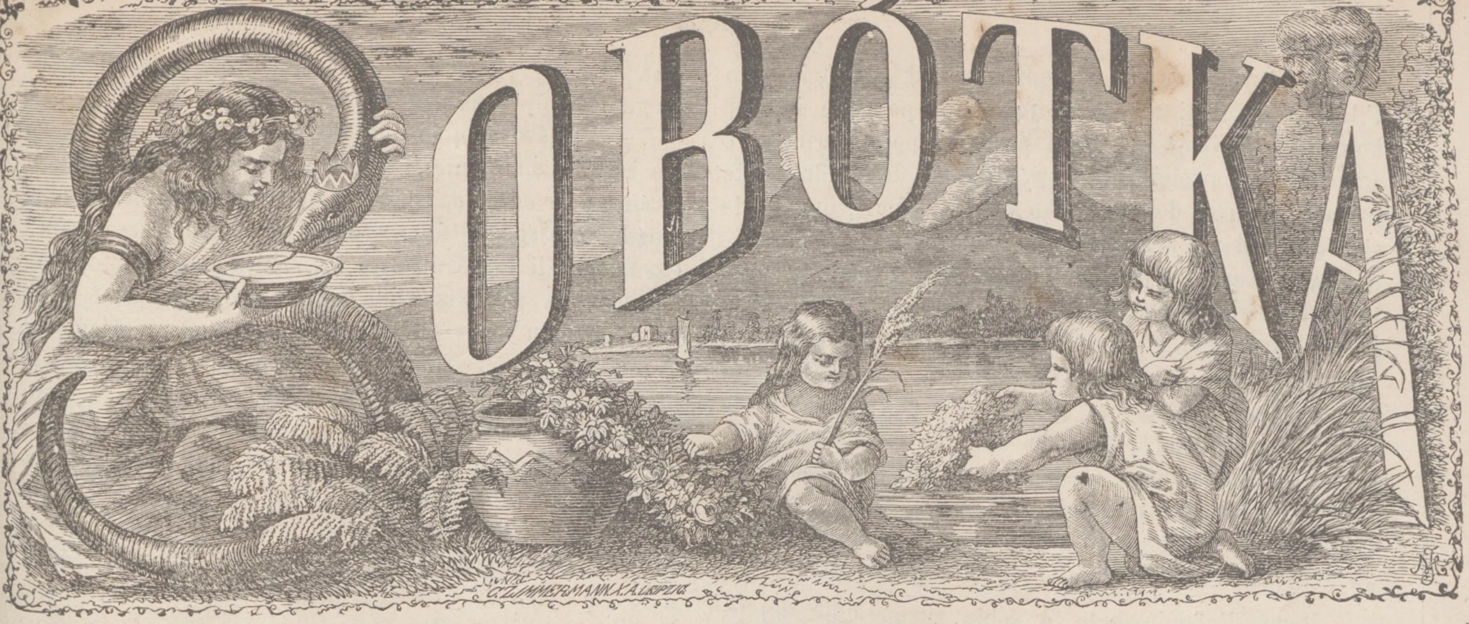



**TYGODNIK BELLETRYSTYCZNY ILLUSTROWANY.**

Tygodniowo 1 arkusz. Kwartalnie 15 sgr. w Galicyi 1 fl. 15 cent. W poszytach czterotygodniowych po 5 sgr.

**№ 43. Poznań, dnia 22 Października 1870. Rok II**

# Nieszczęsny Legat.

Powieść spółczesna

przez

**J. K. Turskiego.**

(Ciąg dalszy).

## V.

### Siatka panny Antoniny.

W Krakowie na Rybakach nad samą Wisłą mieszkała panna Antonina Kicielska, a przy niéj państwo Kicielscy, jéj rodzice, i Zebcio Kicielski, jéj brat. Mieszkanie ich składało się z kilku pokoików parterowego domu, będącego własnością pani Rybackiéj, dalekiéj krewnéj pani Kicielskiéj. Panna Antonina prowadziła réj w domu, na którego utrzymanie pracował jéj ojciec nie wielki urzędniczek w dyrekcyi finansowéj, a któremu i znajomości i przyjaciół i sławę w ogóle w całém mieście wyrabiał Zebcio, malarz i to nawet nie bez zdolności. Lecz panna Antonina trzęsła wszystkiemi i wszystkiém; jéj gust, jéj wola, jéj zdanie czy to o ludziach czy o rzeczach — były gustem, wolą i zdaniem taty, mamy i Zebcia. „Tońcia tak chce“ było to nowokrzyżackie hasło w domu państwa Kicielskich, żyjących zresztą skromnie, uczciwie — tylko nieustannie zatrudniających się i troszczących się o los wszystkich znajomych i wszystkiego, co ich dotyczyło. — Panna Antonina miała lat 28 i pół, wzrost dobry, oczy piwne, duże, rączki różowe, także duże — nos średni, zadarty trochę, lica rumiane, wypukłe, czoło szerokie, żółte, włosy lniane, blado-żołtawe, gęste, loczaste, zęby żółtawo-czerwonawe, szyję ciemno-żółtą, nabrzmiałą — usta koloru śliwki węgierki dojrzałéj, (Tońcia miała wieczną gorączkę), głos męzki, silny, gruby, nazwałbym alto buffo; — a zresztą była wcale przyjemną, prócz nóżek, które miała trochę za wielkie nawet do swego wzrostu. Taką była panna Antonina, co do wewnętrznéj wartości posiadająca świadectwo ukończonych nauk na pensyi pani L... siedm lat nauki na fortepianie, znajomość wszystkich przepisów kuchennych, umiejętność 26 passyansów i nieporównaną pamięć imion i nazwisk wszystkich kawalerów krakowskich mogących lub obowiązanych się żenić, jako też panien wyczekujących razem z nią od 12 lat dnia oświadczyn — tak wzruszających i żenujących, a jednak tak potrzebnych i upragnionych. Dodać nadto potrzeba wygórowaną pretensyonalność, wiarę w siebie posuniętą aż do bałwochwalczego przekraczania piewszego przykazania Bożego — i niesmak w stroju zawsze przesadnim, niby eleganckim, a jednak śmiech raczéj, niżeli podziwienie wywołującym, a będziemy mieli skończoną postać panny Antoniny, trzęsącéj całym domem swego papy, lękającego się jéj wzroku i zakrzywienia palcem — panny Antoniny nareszcie, która po różnych passyansach, rachubach i westchnieniach, wpadła nareszcie na myśl o panu Stanisławie Ciołku, o którego legacie wiedziało miasto całe, a więc i ona wiedziała z wszystkiemi szczegółami. Chodziło tylko o to, aby zręcznie zastawić siatkę, w którąby się ptaszek dał złapać. Mimo pretensyonalności i dumy nieograniczonéj, panna Antonina wiedziała, iż taki młody i wykształcony człowiek, jak pan Stanisław, nie łatwo rozgoreje na widok jéj osoby, choćby się nawet przekonał o jéj najgorętszych zapałach i afektach; — trzeba więc było jakiegoś zręcznego sposobu, aby tego dokazać sztuką, czegoby się nie dokazało naturą.

Usłużnym w tym względzie wydał się Tońci pan Filip Ciołek, znajomy dobry jéj ojca i podobno szkólny kolega, i jego téż roztropna panienka postanowiła użyć za narzędzie swoich widoków. Pan Ciołek jednak nie bywał u nich w domu i tylko ojciec Tońci, pan Kicielski, widywał się z nim na śniadankach u Verderbera — ale bywała u nich jego cioteczna siostra panna Eufemia, kobieta wielce uprzejma i do interesów tego rodzaju bardzo pochopna. Ho ho ho! ile to już ona stadeł nakojarzyła, ile łez wdzięczności odebrała od małżonków przez siebie kreowanych, pytajcie się pana Jana, męża głuchonieméj Józefy, pytajcie się pana Józefa chromiejącego na jedną nogę, ożenionego z ułomną Joanną, pytajcie się pana Krzysztofa bez nogi, męża ciemnéj Eudoksyi — a wszyscy wam powiedzą chórem: to mi swatka jakich mało: chwała jéj, chwała na wieki.

Panna Eufemia była to sobie panna dojrzałéj jesieni życia — nie była brzydka, ale téż w żaden sposób nie można było o niéj powiedzieć, że ładna. Rysy miała dość regularne, wzrost mierny, ale wzrok tak krótki, że oczy musiała zakrywać okularami. Najważniejszym jéj przymiotem był niepospolity dar wymowy, któryby jéj na polu polityczném zjednał niezawodnie nie małe uznanie i sławę. Gdy zaczęła mówić, nie podobna było przerywać jéj mowy jaką uwagą, lub zapytaniem — bo panna Eufemia mówiła ogromnemi okresami, wypowiadanemi zawsze jednym tchem, a przestanki między jednym okresem a drugim robiła nadzwyczaj małe. Nie wątpię, że nawet stenograf miałby z nią nie mały ambaras. Dobry więc wybór zrobiła Tońcia, postanowiwszy działać w swym interesie za pośrednictwem pana Filipa i panny Eufemii; — pierwszy miał wpływ na Stanisława, druga miała wpływ na pana Filipa. — Robotę swoję Tońcia rozpoczęła wkrótce po zapadłéj decyzyi. Panna Eufemia nadarzyła się wkrótce.

— Ach kochana moja Tonieczko, wołała panna Ciołkówna, z całéj duszy i wszelkiemi siłami pragnę Ci dopomódz; jutro pójdę do kochanego kuzynka i pomówię z nim konfidencyonalnie, a z tego, co mi odpowie, zrobimy stósowny wniosek, czyli horoskop przyszłych naszych widoków. Podoba mi się twoje zaufanie, kochana Tonieczko, z jakiém udałaś się do mnie, bądź pewna, że umiem je cenić, i nie zdradzę go nigdy — przenigdy. Masz racyą, że ci się ten chłopiec podoba, i że go z pośród tłumu niedowarzonéj młodzieży wybrałaś za przedmiot uczuć twoich; bardzo słusznie. Nie znam stósowniejszéj partyi dla ciebie — twoje wychowanie i wykształcenie daje ci zupełne prawo do pozyskania jego miłości, która, pomimo iż jest rzadkością dziś między młodzieżą, pewno się i w jego dobrém sercu obudzi. Nie wątp, nie obawiaj się — trwaj w przedsięwzięciu wytrwale, a wszystko się zrobi. Ja za tobą — brata mego biorę także na siebie. Mój Filip wiele bardzo znaczy u tego pana Stanisława; ja uważam, iż oni prowadzą grube interesa ze sobą nie wątpię przeto, iż jego dobre i zręczne słówko nie mało nam w tym względzie pomoże. —

— Ale kochana panno Eufemio, rzekła Tońcia po tych słowach płynących z ust mówczyni strumieniem złotéj wymowy, — nadewszystko musimy zachować sekret. Ja się przyznałam do moich uczuć przed tobą, droga Pani — i proszę dla tego o tajemnicę.

— Najświętszą, najściślejszą. O! moje dziecię — nie wątp o mnie; nie pierwszy ja raz podobne załatwiam interesa; ta odrobina sławy jaką mam w świecie między ludźmi, z czegóż, jeśli nie z mojéj pochodzi zręczności? Czemuż, jeśli także nie sztuce szanowania tajemnic przypisać należy owo dla wielu zagadkowe powodzenie moje w kojarzeniu prawie nieprawdopodobnych małżeństw? Temu to zachowywaniu tajemnicy, powierzonéj mi w zaufaniu, zawdzięczam moje szczęście u ludzi — i mam nadzieję, że go nigdy nie stracę, posiadając niepospolitą moc panowania nad sobą i rzadko u kobiet pojawiającą powściągliwość języka. Ja mówię dosyć — ale nigdy zanadto; mówię nawet czasami wiele, ale nigdy więcéj niż potrzeba. Spuść się tylko na mnie kochana Tońciu, a co się tylko da, to się zrobi. — Wszystko to panna Eufemia mówiła jednym tchem, prawie bez odpoczynku; z słów jednakże jéj widzieć możemy wyraźnie, iż niezbyt wiele ufała téj sprawie, do któréj swéj pomocy nie odmawiała. Pochodziło to ztąd, iż i panna Eufemia nie mogła niewidzieć téj trudności, jaka zajść niezawodnie będzie musiała wtedy, gdy się młodemu i majętnemu Stanisławowi nastręczy pannę wcale nie piękną i nie bogatą. Była to trudność nie dająca się pokonać tak prędko i otwarcie; trzeba w niéj było działać jakimś podstępem i fałszem. Panna Eufemia wszystkich środków użyć postanowiła, bo jéj zasadą było, że wszystkie środki wiodące do szlachetnego celu, są godziwe; — najszlachetniejszym zaś celem zabiegów ludzkich nazywała małżeństwo — pomimo, iż sama nie myślała już o jego szlachetności.

— Rób droga panno Eufemio — jak chcesz, aby tylko dobrze wypadło. —

— Bądź spokojna. Jeżeli nie ja, nikt ci zapewne tego nie zrobi.

— Tylko z panem Filipem ostrożnie, moja panno Eufemio!

— O! nie bój się Tońciu o to; umiem ja z tym starym ćwikiem rozmawiać; nie jeden ja już ubiłam z nim interes, i gdyby nie ta właściwość moja, że umiem wszystko chować w tajemnicy, tobym ja ci tu naopowiadała tyle historyi o nim, żebyś się za głowę złapała. Ho ho! mądry to ptaszek, ale go téż można podejść, jak to mówią, z mańki. Wszystko on robi na zasadzie dobrego widoku zysków...

— Można mu zaręczyć, przerwała Tońcia.

— Pozwól — nie przerywaj — mówiła daléj panna Eufemia — właśnie o tém chciałam mówić. Jeżeli bowiem tę okoliczność ułoży się należycie, możemy być rezultatu pewniejsi. Dajesz mi więc kochana Tonieczko pełnomocnictwo do działania z panem Filipem.

— Najzupełniejsze.

— Mogę szastać cyframi, jak mi się będzie podobało, i jak tego interes będzie wymagał?

— Możesz kochana panno Eufemio — nie lękam się twéj rozrzutności.

— To mi się podoba. Takie zaufanie zasługuje na nagrodę.

— Ale tajemnica!

— Święta!

— Nawet moi rodzice o tém wiedzieć nie będą.

— Bardzo naturalnie. Jesteś pełnoletnią...

— O tém możeby mógł Stasio nie wiedzieć...

— No, mówimy tu tylko w cztery oczy.

— Tak — ale on...

— On będzie wiedział wszystko w cyfrach przybliżonych. — Rachunek taki jest wyborny. Nikogo nie zawodzi i nie obowiązuje nikogo. Nie jest wyjawieniem tajemnicy i tego, z czém się nie chcemy przechwalać, a nie jest także kłamstwem. Ja przybliżonego rachunku używam nietylko przy metrykach obupłciowych, ale nadto przy testamentach i hipotekach. I przyznam ci się nigdy mię on nie zawiódł.

— Daj Boże, aby i tym razem powiodło ci się panno Eufemio!

— Różnie się wiodło w takich sprawach; nadziei jednak nie trzeba nigdy tracić.

— Więc rozpoczynamy jutro?

— Tak jest; ja jutro zobaczę się z Filipem. Pierwsza moja robota będzie nadzwyczaj dyplomatyczną i dla tego nie będę się nawet spieszyła do ciebie z relacyą — późniejsze traktaty będą już energiczniejsze — z temi zaraz tu przybiegnę. —

— Ufam ci, panno Eufemio — i jestem spokojną. Tu obie ucałowały się.

W ten sposób zarzucono siatkę na biednego Stasia — który ani marzył o zawarciu związku małżeńskiego, używając nieznanych sobie dotąd roskoszy stanu kawalerskiego; i panna Eufemia rozpoczęła robotę z panem Filipem. Nie znamy wcale szczegółowych przygotowań słynnéj swatki, poprzedzających jéj mowy stanowcze do pana Filipa — to tylko nam jest wiadomém, iż w miesiąc może po téj rozmowie Tońci z panną Eufemią, którąśmy powyżéj ze stenografowanych notatek podali — pan Filip z panem Stanisławem był u państwa Kicielskich — i na przypadek swój i panny Antoniny, zastał tam pannę Wiktoryę, która rzadko bardzo bywając u państwa Kicielskich, akurat, jakby na złość przyszła dziś po długiéj, bo prawie półrocznéj niebytności. Tońci byłaby może trucizna tak nie dokuczyła, jak wizyta Wikci, o któréj dawnym romansie ze Stasiem wiedziała dokładnie wszystko. Było to rzeczywiście dziwne spotkanie. Staś Wikci nie widział już może rok blisko — o Lepiance zapomniał zupełnie, Tomcio u niego nie bywał — bo go raz przyjął bardzo zimno — i nawet niegrzecznie — teraz zaś patrząc na przedmiot swéj dawnéj miłości, znalazł w nim wielką odmianę. Wikcia wyładniała, wydelikatniała, a co nadewszystko w obejściu swojém i ruchach nabrała pewnéj ogłady i maniery wielce przyjemnéj; głos jéj nawet nabrał dźwięku którego dawniéj nie posiadał — w ogóle zmieniła się na korzyść do niepoznania. — Tońcia o mało febry nie dostała z irytacyi. Jéj robota tak kunsztownie prowadzona, byłażby na nic? — siatka, w którą się ptaszek już, już miał złapać, stargałażby się na strzępy? — Toby było okropnie! — A zanosi się coś na to, myślała sobie Tońcia, patrząc na pana Stanisława. On wyraźnie zmięszał się jéj widokiem, ale także widocznie zbliża się do niéj. — A ona, zarumieniona, pomięszana również jak i on, wyraźnie także pociąga go ku sobie. — O! nieszczęsna ta wizyta! Wszystkie moje plany w niwecz pójść mogą, żeby przynajmniéj panna Eufemia nadeszła. —

Gdy tak czarnemi myślami dręczy się panna Antonina, pan Filip rozmawia coś z matką jéj o przyszłości dzieci — a pan Stanisław przysiadłszy się do panny Wiktoryi, na prawdę odświeża swoje dawne affekta. —

— Co to zmian zaszło od czasu naszego niewidzenia się, mówił niezbyt głośno, nawracający się konkurent.

— W rzeczy saméj, odrzekła na to Wikcia, mnąca z niepokoju i wzruszenia koniuszek swego okrycia aksamitnego — ale wszystko było z korzyścią pana.

— Dałby Bóg, aby się wszystko na korzyść moją obróciło.

— Alboż tak nie jest? — Nie żyjesz pan teraz wesoło, nie bawisz się — nie masz-to tylu przyjaciół?

— O! pani mię nie rozumie...

— Zdaje mi się, że przeciwnie, że bardzo dobrze rozumiem pana.

— Lecz czy pani sądzi, że nowe przyjaźnie i znajomości zawsze są w stanie zastąpić dawne, zawsze milsze i droższe.

— Wątpię bardzo, aby być mogło inaczéj. Kto czego pragnie, to ma.

— A gdybym ja teraz zapragnął przebaczenia pani...

— Za co? rzekła wcale naiwnym i otwartym tonem.

— Za moje grzechy.

— Nie znam ich.

— Ależ największy przecie z tych grzechów jest moja niewdzięczność względem pani.

— Nie obwiniałam pana o nię nigdy. Niczém bowiem nie zasłużyłam na co innego.

— Pani mię mocno karzesz.

— Nie mam wcale do tego prawa.

— Więc widzę pani mi wcale nie przebaczasz? —

— Powtarzam, że nie ma za co.

— Za moje zapomnienie, które mię teraz dopiero boli, bo widzę, com mógł przez moję nieoględność utracić — i kto wie, czym już nie utracił. —

— Pozwoli pan powiedzieć sobie prawdę?

— Bardzo o nię proszę.

— Otoż powiem panu, że widać iż na wielkim świecie, śród którego pan się teraz obracasz, łatwo się wyuczyć słodkiéj mowy, lecz że na niéj poznają się ludzie małego świata.

— Są to dla mnie bardzo bolesne słowa, ale przyznaję, iż zasłużyłem na nie, choć w nich ukrywa się niesprawiedliwość wielka. —

— No! państwo może zabawią się w grę jaką, zagadnęła panna Antonina, którą ta rozmowa Stasia z Wikcią, korciła już nie na żarty.

— I owszém, odrzekła Wikcia, powstając i zbliżając się do Tońci. Pan Stanisław został sam. Rozmowa z Wikcią tak korzystnie zmienioną, wywarła na nim dość silne wrażenie, wspomnienie dawnych czasów odżyło w sercu — a może téż czuł się już znużonym temi nowemi znajomościami i tym nowym światem, i zapragnął powrócić do dawnego trybu życia, który mu się mógł zdawać swobodniejszym, naturalniejszym i szczerszym. — Nie był on bowiem człowiekiem tak lgnącym ku temu przepychowi i życiu, w jakie został wciągnięty przez pana Filipa, czyhającego na jego kamienicę, do któréj

ułożył sobie przyjść tanim kosztem, i lada silniejsze wspomnienie dawnego życia, ukazywało mu nicość jego dzisiejszych rozrywek i próżniactwa. Więc kiedy zobaczył Wikcię, ładną i przyzwoicie ułożoną, przypomniał sobie Lepiankę, Tomcia, prawdziwego przyjaciela, i ukazał mu się ten światek zarogatkowy daleko milszym i poetyczniejszym, niż miejskich próżniaków biesiady i wizyty, i postanowił powrócić do dawnego sposobu życia. Wizyta jego u państwa Kicielskich naprowadzona zręcznym planem panny Eufemii i pana Filipa, miała wprawdzie na celu zagmatwać go w stósunek zależności od pana Kicielskiego. Ten bowiem tylko środek wymyśliła głowa panny Eufemii, ażeby Staś zapożyczył się od ojca Tońci na taką sumę, iżby jéj nie mógł zwrócić tak prędko, przez co, jako też przez bywanie częste w ich domu, miało się złożyć małżeństwo. W ten sposób uzupełniła panna Eufemia siatkę panny Antoniny, siatkę prawdziwie czarodziejską, ale nie dla téj, która ją zastawiała. Tymczasem wszystkie plany nie udały się. Staś w poufnéj rozmowie z panem Filipem odwołał zamiar zaciągnięcia pożyczki od pana Kicielskiego, mówiąc wyraźnie, że myśli zmienić swój dotychczasowy rodzaj życia, że myśli ograniczyć się w wydatkach, żyć skromnie, utrzymywać się z lekcyi i czekać cierpliwie téj chwili, w któréj mu Bóg dozwoli odziedziczyć zapisaną przez pana Ambrożego kamienicę.

— A cóż będzie z Blichoniem? zapytał się z pewnym przekąsem pan Filip, domyślający się przyczyny tego nagłego zwrotu w usposobieniu swego dłużnika.

— Blichoniowi dam kartę z zapewnieniem spłacenia mu całéj sumy wraz z procentami aż po odziedziczeniu realności.

— On na to nie przystanie.

— Policzę mu procent, jaki będzie chciał.

— To wszystko na nic.

— Ha! niech robi, co mu się podoba; niech mi zabierze wszystko, co mam, mnie i tak nie potrzeba tych wykwintnych mebli.

— Ale cóż to się z tobą stało, mój Stasiu — cóż powie na to Cesia?

— Cicho! mój drogi wujaszku — to głupstwo; wyrzekam się jéj znajomości.

— Bardzo to ładnie i moralnie mój Stasiu, ale to nie tak łatwo mój chłopcze zerwać związki, które się tak silnie powiązało, naprawić złe, które się tak łatwo popełniło.

— Nie boję się żadnych następstw ani wyrzutów. Jeden pan Blichoń trochę mię tylko obchodzi.

— Ha! rób jak chcesz, ale pamiętaj abyś tego potém nie żałował. Nie tak to łatwo będzie wracać znowu do tego, co dziś chcesz porzucić, jak było — wrócić w to, z czego się przy pomocy życzliwych serc wygramoliłeś.

— Dziękuję ci kochany kuzynku za wszystko!

— Ha! kiedy chcesz, to wróć się w zawód goryczy i nędzy...

— O! przepraszam kuzynka — praca moja uratuje mię od téj ostateczności.

— To sobie pracuj. Powtarzam ci tylko, że potém nie łatwo będzie wrócić do tych, których dziś odrzucasz.

— Ja nikogo nie odrzucam, mój kuzynku kochany, ja tylko chcę zmienić mój sposób życia, bo mi się przykrzy tak bezużytecznie marnotrawić czas i pieniądze, do których jeszcze nawet nie mam prawa.

— Rób jak chcesz — rzekł na to stanowczo pan Filip, w duchu złorzecząc jakiemuś nieszczęsnemu zbiegowi okoliczności który mu ładnie zestawiające się szyki widoków pomięszał Pan Stanisław tymczasem wmięszał się w grono bawiących i pomimo iż nie znajdował żadnéj przyjemności w grze w talarka, miłą mu ona była teraz, bo mógł śród niéj patrzeć się na swego anioła odkupiciela, być bliżéj téj, do któréj nawrócił się wspomnieniem, która go nawzajem nawróciła na lepszą drogę życia. Poił się téż jéj widokiem i zachwycał rozmową tak jak okropną znowu męką mu była panna Antonina i każde jéj słowo do niego wymówione. Bo téż panna Antonina przemawiała do niego tak oklepanemi frazesami, że nie podobna się było niemi zachwycić, widząc nadto dziwacznie wyelegantowaną pannicę.

— Éj pan Stanisław się jakoś zapomina, mówiła raz. Znaczy to coś, znaczy. My wiemy dobrze.

— A jakie ma zimne ręce, mówiła znów drugim razem. Zimne ręce oznaczają serce gorące.

— Czy niebieskie migdałki panu się podobają — mówiła znów po raz trzeci, zawiązując rozmowę.

— O! o!... a to westchnienie, zagadnęła po raz czwarty, złapałam pana, złapałam.

— Czy pan lubi psy, zapytała się po raz piąty, widząc, że pan Stanisław głaskał jéj ulubionego mucyka.

— Ja bo wolę psy niż koty, bo koty to fałszywe — a pan?

— Ja — ja? ja także proszę pani, odrzekł zniecierpliwiony Staś.

— A jakie się panu imię najbardziéj podoba, mówiła po raz dziesiąty zaczynając z nim dyskurs.

— Męskie, czy żeńskie? spytał się Stanisław.

— Męskie.

— Męskie — to Adam.

— A żeńskie?

— Ewa, łaskawa Pani.

Tońcia dorozumiała się przecież że z niéj żartuje — dała więc pokój dalszéj rozmowie — a Staś uwolniony od jéj affektów, zwrócił się zupełnie do Wikci. Wikcia nakłaniała się coraz bardziéj ku niemu; i jéj serduszko ogrzały wspomnienia roskosznych marzeń w Lepiance. — Gdy się rozstawali nie było wprawdzie jeszcze stanowczéj zgody między niemi, ale Wikcia szepnęła Stanisławowi po cichu — aby po resztę porozumienia się zgłosił do Lepianki. Tomcio, który po nią przyszedł i odprowadzał ją do domu, był także uszczęśliwiony ze zbliżenia się do Stanisława, którego mu zawsze żal było i którego kochał jak brata.

Tym więc sposobem zręcznie zastawiona siatka panny Antoniny nie wydała pożądanych owoców — i Tońcia wątpiła już stanowczo o swojéj romantycznéj przyszłości. Stała się przez to okropną i mściła się za swoje nieszczęście na wszystkich. Pannie Eufemii wyrzucała z goryczą nieudanie się projektu, ale ta znana i pełna sławy swatka, odrzekła jéj z pewnym docinkiem: „Nie pomoże siatka, ani zręczna swatka, kiedy już daleko zajdą pannie latka.“ (Dalszy ciąg nastąpi).



Celnik. Strzelec prowinc Gwardzista narod. prow. Paryski wolny strzelec. Strzelec wogezki. Gwardzista ruchomy. Straż ogniowa. Oficer marynarki i majtek.
Paryski gwar. narod. Ochotnik paryski.

**Nieregularne wojska francuzkie.**

# Do dzisiejszych poetów.

Stoimy dziś na progu zamglonéj przyszłości
I patrząc w dal niepewną rozpierzchłych kolei,
Daremnie betleemskiéj czekając światłości
I arkę losów naszych, — skarb wiary, nadziei, —
Nie wiedząc dokąd ponieść, jakiéj oddać drodze,
Pytamy: „Gdzie prorocy, gdzie są nasi wodze?“

Dotąd nas prowadziły dźwięki waszych lutni
I rozjaśniał ciemności blask waszych pochodni
I szliśmy wiarą silni, boleścią pokutni
Na kresy, gdzie nam sztandar powiewał przewodni.
Dzisiaj głucho przed nami, pochodnia nie płonie,
By daléj ponieść sztandar, za słabe dziś dłonie...

Wy dzisiaj, jak ponure Egiptu kapłany,
Zeszliście pod grobowca wilgotne sklepienia,
Gdzie zbutwiałym całunem leży trup związany,
Gdzie się czołga wąż śmierci i robak zniszczenia.
I duch wasz strupiał, skarlał w téj zimnéj mogile,
Zasklepił się w jéj murach i zagrzązł w jéj pyle.

Wy patrzycie w téj mumii twarz martwą i siną,
Śledzicie w pustych piersiach śladu zgasłéj duszy,
A gdy robak jéj powiek wypełźnie szczeliną,
Kiedy się w prochu serca chłodny gad poruszy,
Echo waszego jęku zimny głaz odbije:
„Umarła matka nasza!... lecz kiedyż odżyje?!“

I zebrawszy się w okół téj rozpadłéj trumny,
Nagim kościom złociste nakładacie szaty,
Zgasłą chwałą grobowe zdobicie kolumny
I te prochy wonnemi chcecie zakryć kwiaty.
A kiedy arfa zadrzy z pod zemdlałéj dłoni,
Pieśń wasza próżną boleść, próżną rozpacz dzwoni.

Milczcie!... bo gdy przechodzień usłyszy te łkania,
I spojrzy okiem światła na tę mumią bladą,
Powie: „Oto zwątpili o dniu zmartwychwstania
Do wiecznéj więc mogiły trupa matki kładą...
I nigdy jéj nie zagrzmi trąba archanioła,
Bo rozpacz zmartwychwstania wywalczyć nie zdoła!...

A naród jęków waszych słucha pełen trwogi
„Wyjdźcie!...“ woła, „zawalcie te grobowe głazy!...
Chcemy dążyć do celu śladem nowéj drogi
I trudem nowéj walki obmyć nasze skazy...
Jest Bóg, co nas nadzieją karmił od powicia
Po za tą mgłą przyszłości jest więc źródło życia!...“

Naprzód więc!... Niech spoczywa, póki ogniem boju
Oczyszczeni synowie i cierpieniem święci,
Przyniosą czarę łaski z ożywczego zdroju
I matkę od grobowych uwolnią pieczęci...
Naprzód z wiarą w swe siły, w sprawiedliwość Boga!...
Naprzód po życie matki!... wy wskażcie gdzie droga...

Poznań, 16 października 1870.

J. M.

# Wojna.

V.

Było to w r. 53 przed Chrystusem. Po kilkoletnich krwawych zapasach ulegli Gallowie dzielności rzymskich legionów i geniuszowi Cezara, groźne topory liktorów błysły nad brzegami Sekwany i Renu, a królowie celtyckich plemion musieli jako dowódzcy jazdy pełnić służbę w rzymskim obozie. Lecz walka jeszcze nie była skończona; jak tyle razy w dziejach pokazało się i w Gallii, że łatwiéj podbić wolny naród, aniżeli go utrzymać w poddaństwie. Harde rycerstwo celtyckie wstrząsało narzuconemi mu kajdanami i z gniewnym wstydem spostrzegło, jak małą była liczba ich zwycięzców. Kiedy Cezar dla ubezpieczenia nowo podbitéj prowincyi podejmował wyprawy do Germanii i Brytanii, mógł z niejednego wypadku dorozumieć się, jakie myśli i zamiary pokutują po głowach Gallów, a gdy wyprawy te się nie powiodły i pobratymcy Gallów w Brytanii dali im przykład, jak się obronić rzymskiemu najazdowi, wybuchło zimą z roku 53 na 52 ogólne powstanie w zachodniéj Gallii.

Na jego czele stanął młody rycerz ze szczepu Arvernów Vercingetorix. Przedsiębiorczy, odważny, przebiegły musiał on sobie zjednać umysły i cała Gallia uznała w nim niebawem człowieka, który jedyny zdolen jeszcze ocalić jéj wolność, jeżeli jeszcze może być ocaloną. Wymyślił on nowy plan działań wojennych, zupełnie odmienny od wszystkich dotąd używanych. Nauczony doświadczeniem, że wojska gallickie nigdy nie dotrzymają placu legionom rzymskim w otwartém polu, rozkazał ściągnąć się swym wojownikom do miejsc obronnych, te zaopatrzyć w żywność i wszelkie potrzeby wojenne, a resztę kraju zniszczyć i spustoszyć. Aroricum, dzisiajsze Bourges, było jedném z takich obronnych miejsc; tam w oszańcowanym obozie pod miastem stawił Vercingetorix Cezarowi czoło i przymusił go do regularnego powolnego oblegania miasta, podczas gdy liczna jazda Gallów, główna siła ich wojska, odcinała Rzymianom dowozy i trapiła podjazdami. Gdy nareszcie upadło Aroricum, stała się Gergovia (Clermont w Auvergne) podstawą działań Vercingetorixa i udało mu się tam nawet pobić Cezara, gdy ten usiłował wziąść szturmem miasto i obóz gallicki. Teraz podniosła broń i reszta Gallów, a gdy Cezar ściągnąwszy do siebie oddziały Labienusa zagroził ponownie Vercingetorixowi i pobił go w otwartém polu, oszańcował się wódz Gallów na czele 80,000 wojska pod Alezią (Alise Sainte-Reine w depart. Côte d'Or), zaprowiantował się i czekał zbawienia od czasu i swych współbraci. Długo stawiał Rzymianom opór, a gdy poczęło brakować żywności, wydalił z miasta wszystkich niezdatnych do boju, wysłał z obozu jazdę, gdyż mu paszy dla koni niedostawało i wezwał naczelników kantonów. aby zebrali wszelkie siły i przybyli mu na odsiecz. Minęło kilka tygodni, już w obozie nie było ani miary zboża i żołnierze musieli się żywić li mięsem, gdy w ostatniéj chwili ukazały się w tyle wojsk rzymskich nieprzeliczone zastępy Gallów, 280,000 piechoty i 8,000 konnych. Od gór seweńskich aż do kanału chwycił kto mógł za oręż, aby uratować wielkiego wodza i wolność Gallii. Lecz legiony rzymskie rozpędziły niedyscyplinowane tłumy Gallów, a ze zwycięstwem Rzymian zniknęła wszelka nadzieja ratunku dla wojska w Alezii. Trzeba było się poddać. Vercingetorix, wielkoduszny jak zawsze, postanowił poświęceniem swéj osoby uratować swych współbraci. Z jego własnego rozkazu wydali go dowódzcy Gallów Cezarowi jako sprawcę powstania, na którego głowę jedynie kara spaść powinna. W pełnym rynsztunku, na swym ulubionym koniu stawił się król Arvernów przed prokonsulem rzymskim i trzy razy zatoczył koniem w koło jego wzniesionego tronu, potém

rzucił broń o ziemię, oddał konia Rzymianom i milczący usiadł u stóp Cezara. Gallia była zwyciężoną na zawsze.

Czy tocząca się obecnie wojna nie podobna dopiero co opowiedzianéj? Jak przed dwoma tysiącami lat zawisł ratunek Francyi na obronie kilku punktów warownych, a przedewszystkiém Metzu, gdzie zamknięta ostatnia regularna armia Francyi, i Paryża stolicy kraju. Jak przed dwoma tysiącami lat Alezia od Gallii, tak dzisiaj Paryż oczekuje od reszty Francyi ratunku, wygląda niecierpliwie armii, która mu przyjdzie na odsiecz i rozerwie ten żywy, a silniejszy od żelaznego, łańcuch, jakim opasali Prusacy stolicę Francyi. „Paryż jest zaopatrzony jak najlepiéj,“ mówił Gambetta w swéj odezwie do Francyi, „przeszło 3 000 dział broni jego murów, 400,000 gwardyi narodowéj gotowe jest umrzeć na wałach i barykadach za Francyą, 100,000 gwardyi ruchoméj i 60,000 regularnego żołnierza wystarcza do czynienia wycieczek, nie brak żywności i nie brak odwagi.“ Fakta dokonane potwierdzają te słowa, Paryż trzyma się dobrze, w potyczkach 19 i 30 września zaglądała gwardya ruchoma śmiało w oczy nieprzyjacielowi, świeżo nawet ogłosił rząd francuzki, że 12 zostało odniesione pierwsze zwycięztwo w okolicach St. Denis. Gdy odcięto komunikacyą z resztą kraju za pomocą kolei żelaznych, otworzyli sobie zmyślni Paryżanie drogę powietrzem i balony regularnie odchodzące z Paryża nietylko nas uwiadamiają o wszystkiém, co się w mieście dzieje, ale wywożą nadto w swych łódkach członków rządu potrzebnych na prowincyi, jak niedawno Gambettę i hrabiego Kératry. Ale na długo tego jeszcze? Czy Paryż oprze się bombardowaniu, do którego się przygotowują Prusacy; a mianowicie, czy głód nie przymusi go do poddania się? Jest to zupełném niepodobieństwem, aby mogło się długo trzymać miasto z dwoma milionami mieszkańców, któremu dowóz odcięto. Cztery tygodnie już upłynęły od chwili rozpoczęcia oblężenia, jeszcze cztery, a mieszkańcy Paryża znajdą się w położeniu Vercingetorixa pod Alezią, głód zwalczy ich męztwo. Musi przybyć wielka armia szybko na odsiecz, jeżeli Paryż nie ma upaść. Zebranie téj wielkiéj armii i przyspieszenie téj odsieczy, oto też cel wyjazdu Gambetty do Tours, cel wypowiedziany przezeń we wzmiankowanéj już proklamacyi. „Paryż broni dziś Francyi, woła Gambetta, ale Francya powinna uratować Paryż; niechaj wszystkie departamenta zbiorą wszystkie swe siły i ruszą na Paryż.“ W części stało się to już nawet, lecz pierwszy krok był nieszczęśliwy. Zebrana za rzeką Ligierą armia około 60,000 ludzi licząca wyruszyła z Orleanu ku Chartres, zatém na północ ku Paryżowi, lecz Bawarowie zatrzymali ją w drodze, pobili i wyparli za Ligierę. Orleans nawet został przez nich opanowany. Potrzeba będzie armią tę zreorganizować, zanim na nowo pójdzie naprzód, a czas mija, a każdy dzień pełen doniosłości. Podobno i północne departamenta, Normandya i Bretania tworzą armią Paryżowi na pomoc, lecz z niepewnych i ogólnych wiadomości, jakie ztamtąd przychodzą, nie podobna utworzyć jasnego obrazu o tamecznem położeniu rzeczy. Hr. Kératry, który napowietrzną drogą opuścił Paryż, ma przyspieszyć zbrojenia się północy.

Prawie w tym samym czasie, gdy Bawarzy bili Francuzów pod Orleans, poniosła i armia lyońska pod Raon klęskę. Badeńczycy i Prusacy pod jen. Werderem odnieśli to zwycięstwo i zagrodzili armii lyońskiéj drogę do Nancy i Metz. Więc Metz wskazane na swe własne siły, lecz wszelkie poszlaki mówią za tém, że Metz ostoi się o własnych siłach. Wiadomości przychodzące od marszałka Bazaine'a z lotaryńskiéj fortecy brzmią zawsze jednakowo: „nie kłopoccie się o mnie, jestem we wszystko zaopatrzony i wyjdę z Metz, gdy będę chciał.“ W licznych potyczkach, mianowicie z dywizyą landwery jen. Kummera, w któréj dużo się znajduje Polaków, odnieśli Francuzi nawet raz po raz jakieś korzyści, a armia oblężnicza, złożona z czterech korpusów i wspomnionéj dywizyi landwery topnieje trapiona chorocą i napadami Francuzów. Jeżeli Metz jest należycie opatrzone w żywność, to aż do zawarcia pokoju nie przestanie na jego murach powiewać sztandar francuski, gdyż olbrzymie te fortyfikacye, bronione przez prawie stutysięczną armią, są nie do zdobycia. Prusacy nie kuszą się też wcale o to, gdyż Metz leży na uboczu i nie tamuje wolnéj komunikacyi armii pruskiéj z krajem rodzinnym.

Inne jest położenie Strassburga, Toul, Soissons i Verdun. Fortece te panowały nad liniami dróg żelaznych łączących Paryż i oblegającą go armią z Niemcami, ztąd też Prusacy wytężyli wszystkie siły, aby zdobyć te pozycye i po wytrwałéj a dzielnéj obronie musiał się poddać Strassburg, a waleczny jego obrońca jen. Uhrich związany słowem, danem przy kapitulacyi, że w obecnéj wojnie oręża przeciw Prusom nie dobędzie, musi patrzeć z założonemi rękami na fatalne położenie swéj ojczyzny. Równego losu z Strassburgiem doznały Toul i Soissons, a i Verdun podda się niebawem, gdyż i przypuścić nie podobna, aby słabe mury téj fortecy trzeciego rzędu mogły się oprzeć olbrzymim działom oblężniczym, które z pod Toul i Soissons sprowadzone lada chwila wyrzucą straszliwe pociski na starożytne miasto, gdzie przed tysiącem lat został dokonany podział monarchii Karóla Wielkiego.

Po zdobyciu Verdun będą mieli Prusacy zapewnioną i bezpieczną komunikacyą ze wschodem, a północno-wschodnie fortece jak Montmédy, Mezières, Pfalzburg i Bitche tę tylko wyświadczą Francyi usługę, że pewną liczbę wojsk niemieckich zatrzymają przed swemi murami i nie puszczą na główne pole bitwy, pod Paryż. Fortece to zresztą słabe i łatwe do wzięcia, jedyne Bitche, z powodu swego naturalnego położenia jest trudném do zdobycia, a lepiéj powiedzmy jest nie do zdobycia. Z porady marszałka Turenne zbudował je słynny inżynier francuski Vauban w roku 1679 w północno-zachodnich kończynach Vogezów na skale średniéj wysokości, lecz odosobnionéj, któréj ściany z dwóch stron zupełnie pionowo spadają. Zaopatrzone jest to fort w wykute w skale kazamaty, galerye i ganki, wewnątrz niego znajdują się tylko budynki wojskowe, jako to: stajnie, młyn, piekarnia. Studnia w skale wykuta, głęboka na 87', zaopatrza załogę w czystą źródlaną wodę. Miasto samo, nie wielkie, 3,000 mieszkańców liczące, leży u stóp skały, na któréj fort zbudowane. Znalazło się ono w niemałym kłopocie w pośrodku pomiędzy bateryami bawarskiemi i działami fortecy. Prosili mieszkańcy komendanta, aby im pozwolił się poddać, na co ten odpowiedział, że nie ma nic przeciwko temu, lecz że zamieni je w kupę gruzów téjże godziny, w któréj się w niém Bawarzy usadowią. Przemyślny budowniczy Bitche'u niezapomniał ułatwić załodze fortecznéj odwrotu, gdyby forteca po zburzeniu budynków wszystkich, dłużéj trzymać się nie mogła. Wydrążonemi w skale gankami może załoga w tym ostatecznym razie wyjść swobodnie, a całe skaliste gniazdo w powietrze wysadzić. Sprawozdawca jednego z pism niemieckich, który naocznie przekonał się o warowności Bitche'u, powiada, że oblegający wcale by się nie gniewali, gdyby komendant francuski zrobił coś podobnego. Ułatwiłby im ciężkie ich zadanie.

Wśród okopów Metzu i Paryża znajduje się dziś Francya; o jéj losie rozstrzygnie rezultat tych dwóch oblężeń. I gdzież się podzie e w obec tych faktów owa teoryjka o warowniach, jaką sobie od czasu wojen Napoleona I. ułożyli wielcy strategicy kawiarń i bierhallów. Na cóż się zdadzą, mówili oni, mury i wały, opasujące miasta i tamujące w nich rozwój handlu i przemysłu, gdy działa ciągnione wielkiego kalibru z półmilowéj odległości rzucają swoje pociski. Otóż widzimy na co się zdadzą. Czytamy w raportach wojskowych dzisiajszych,

że obie walczące strony posiadają działa, które z odległości $^{3}/_{4}$ a nawet $^{7}/_{8}$ mili strzelają i trafiają, a pomimo to widzimy, że wojna zamieniła się we wojnę czysto forteczną, jaką przed trzystu laty Holendrzy z Hiszpanami prowadzili. W tém też leży przyczyna fatalnego przedłużania się wojny, napawającego obawą i zwycięzców i zwyciężonych, a zasmucającego wszystkich przyjaciół ludzkości, którzy nie mogą dojrzeć szczęśliwego dnia, w którym ustanie rozlew krwi i przygaśnie dym palących się miast i wiosek.

# ROZMAITOŚCI.

### Nieregularne wojska francuzkie.

(Z ryciną).

Rycina nasza przedstawia postacie i ubiory wojsk francuskich, nie należących do armii regularnéj. Są tam żołnierze z gwardyi narodowéj, z gwardyi ruchoméj, ochotnicy z miast i wsi, pompierzy i t. d. W środku ryciny, z odkrytą głową, z bronią w ręku siedzi u stołu strzelec wogezki: strzelcy ci już w r. 1814 odznaczali się odwagą i patryotyzmem. Po prawéj, u drugiego stołu siedzi dwóch, a ten co czapkę oparł o nogę założoną na nogę, jest ochotnikiem paryskim; towarzysz jego, w granatowym mundurze z szerokiemi epoletami jest członkiem gwardyi narodowéj nieruchoméj, która w pole nie wychodzi, a pełni służbę tylko w obrębie swego miasta. Nowszą gwardyę narodową prowincyonalną reprezentuje na rycinie naszéj postać, która w jéj lewym rogu stoi odwrócona do widza, na wpół tyłem a raczéj prawem ramieniem; niema broni, spięty jest czerwonym pasem, zwieszającym się u lewego biodra; na sobie ma krótką a szeroką tunikę, czyli też bluzę z ciemno granatowego sukna, rozmawia on z paryskim wolnym strzelcem (franctireur) uzbrojonym w rewolwer i krótki sztucer. Tych-to zadaniem jest wychodzić na czaty i z za drzew lub z rowów sprzątać patrole nieprzyjacielskie. Za gwardzistą, ze strzelbą przez ramię przewieszoną, stoi strzelec prowincyonalny, który pełni służbę podobną jak wolny strzelec paryski. W miejscu kepi albo furażerki ma na głowie kapelusz z szerokim brzegiem. Między postaciami umieszczonemi w głębi ryciny, odznaczają się trzy hełmami, kształtu rzymskiego. Jeden z tych rycerzy w błękitnéj bluzie, spięty szerokim pasem, stoi między stołami. Są to saperzy-pompierzy (straż ogniowa) którzy w pokoju gaszą pożary i dobytek ludzki wynoszą z płomieni, a teraz muszą zapalać pochodnie wojny i czyhać na życie ludzkie. Pompier wiejski nosi tylko bluzę — miejski zaś stroi się w mundur, a na hełmie ma ogromny pióropusz. Przed nim, ten co cygaro do ust kładzie, jest to gwardzista ruchomy paryski, a z za jego prawego ramienia patrzy na nas gwardzista ruchomy z prowincyi. Za stołem po prawéj ręce stoi majtek obok oficera marynarki, którzy miasto na morzu, teraz na lądzie wojować muszą. Daléj obok, jest oficer sztabowy — w stósowanym kapeluszu, lekarz wojskowy, na czapce oznaczony krzyżem czerwonym na białém polu i ordynans szpitalny. Na lewym końcu widać celnika, a na prawym stoi gwardzista narodowy w codziennym ubiorze.

Gwardya narodowa składa się z osiadłego przemysłowego obywatelstwa. W pole nie wychodzi, ale za to czuwa nad spokojem i porządkiem miejscowym. W Paryżu jednakże obecnie pełni służbę na wałach. Gwardya ruchoma ustanowioną została przez Cesarza, ażeby na wzór landwery pruskiéj, stworzyć rezerwę dla armii. Ale podczas gdy landwera pruska składa się z wysłużonych żołnierzy, do gwardyi ruchoméj biorą tych co się z służby wojskowéj wylosowali, uwolnili lub zastępców za siebie dali, nareszcie stróżów polnych, celników, listonoszów i t. d., a więc gwardya ruchoma składa się z rekruta, którego od razu w polu użyć nie można; za murami, jako załoga okazała się gwardya ta w Toul i Strasburgu bardzo dzielną.

Wolni strzelcy, są to członkowie towarzystw strzeleckich. W r. 1867 kiedy z powodu luksemburgskiéj sprawy groził wybuch wojny, wolni strzelcy wogezcy ofiarowali służbę swą marszałkowi wojny i dziś na całym obszarze walki pojawiają się oni i niepokoją nieprzyjaciela.

### Szarada.

Och! dobrze w życiu spędzić dni długie
Jak to oznacza pierwsze i drugie!
Trzecich zaś rożne na świecie rodzaje,
Które wybrańcom historya przyznaje.;
Całe zaś siedziba, nazwa jéj uprzedza
Że tam gnieździ się cnota, gościnność — wiedza.

(Rozwiązanie zagadki w Nr. 42: **Graboska**).

### Korespondencya Redakcyi.

Pani Kadzie... w ...... Dziękujemy. — Panu N. w Inowrocławiu: Niejasna. — Panu L. pod Kościanem: Pewnemu patronowi literatury, czytał młody autor trzy-aktową krotochwilę arcynudną; w końcu drugiego aktu, czytelnik wyrażając dobitnie każdą zmianę, rzekł: (tu baron się śmieje) „Szczęśliwy!“ zawołał słuchający. — Panu R. H. w Bydgoszczy: Krates Tebańczyk zwykł był mawiać: „Trzy tylko środki są na miłość: głód, czas i stryczek. — W miejscu wierszy użyj Pan jednego z wymienionych; — jest to odpowiedź ostatnia na wszystkie jego reklamy. — J. M. Ks. pod Krakowem: Obecnie nie jesteśmy w możności do życzenia Jego zastósować się; o przyczynach listownie zawiadomimy. Dziś chciéj mieć nas za wytłumaczonych. — Panom kwintanerom: Rozwiązanie trafne. — Pannie Leokadyi: Na raz wszystkie niepodobna.